

MOJA DROGA DO MATERY

”Burza” na Pogórzu Tarnowskim skończyła się z końcem października 1944 roku. Do domu zdążyłem wrócić z ”lasu”, po demobilizacji oddziału, przed godziną ”wałów”, to jest przed godz. 7.00. Godzinami ”wałów” nazywano wówczas czas od godz. 7.00 do 17.00, gdy mieszkańcy Tarnowa szli na ”wały” czyli do kopania okopów na przedmieściach miasta.

W bramie spotkałem Mamę, która mnie w pierwszej chwili nie poznała. Ojca zastałem jeszcze w mieszkaniu. Pomógł mi sciągnąć buty z cholewami, których nie mogłem sam zdjąć, tak były mokre. Byłem strasznie zawoszony i ogromnie zmęczony. Mama z bramy wróciła do domu i posłała mi łóżko. Rodzice zaraz wyszli na ”wały”. Mnie prosili, abym się cicho zachowywał, gdyż pod nami mieszkali Volksdeutche. Po kąpieli rzuciłem się na łóżko, przykryte białym wykrochmalonym prześcieradłem, które śniło mi się od miesięcy. W mgnieniu oka zasnąłem jak kamień. Spałem 24 godziny.

Front niemiecko-sowiecki oddalony był o 20 km i na długie miesiące ustabilizował się nad Wisłoką. Tarnów wyludniał się we wspomnianych godzinach ”wałów”, bo wszyscy mieszkańcy Tarnowa szli do kopania okopów. Miałem fałszywe dokumenty i na ”wały” nie chodziłem. Z domu wychodziłem tylko wieczorami przed godziną policyjną, bo w dzień oddziały niemieckie patrolowały ulice miasta z bronią gotową do strzału.

Wkrótce z Inspektoratu otrzymałem przydział do nasłuchu radiowego. Nasłuch ten mieścił się w Tarnowie przy ul. Szerokiej 6 w kantorze opustoszałego sklepu. Zbyszek Holik i ja stanowiliśmy obsługę tego nasłuchu i obaj byliśmy uzbrojeni. Radio było duże, wielo-lampowe i bardzo czułe. Oprócz BBC słuchaliśmy niemieckiej ”Wandy”, nadającej audycje dla żołnierzy II Korpusu oraz sowieckiej radiostacji ”Kościuszko” z Moskwy i muzyki tanecznej z Berlina. Zadaniem naszym było notowanie melodii i cyfr, nadawanych przez BBC po polskich audycjach. Raporty nasze odbierał łącznik rano i wieczorem. Nie wiedziałem wtedy, że słuchałem komunikatów, zapowiadających zrzuty. Słuchanie radia karane było przez Niemców śmiercią. W kantorze urządziliśmy sobie na stołach postanie i jeden z nas wychodził wieczorem po zakupy żywności, zamykając za sobą drzwi frontowe na klucz. W domu bywałem rzadko, gdyż mieszkanie nasze naszło Gestapo, w poszukiwaniu ukrywających się Żydów w kamienicy obok. Z biblioteki naszej jeden z gestapowców pożyczył sobie ”Pamiętnik angielskiego agenta”. Zadeklarował, że ma zamiar go oddać i nadal korzystać z biblioteki.

Na nasłuchu radiowym wytrwałem do wkroczenia wojsk sowieckich do Tarnowa. Radio oddaliśmy do Inspektoratu w czwartek 18 stycznia 1945 roku. Dzięki słuchaniu, w ramach służby, sowieckich audycji nie miałem najmniejszych wątpliwości, co nas czeka. W marcu pojechałem do Krakowa, aby się zapisać na organizującą się Politechnikę Śląską, do której zapisy przyjmowano na Akademii Górniczej. W czasie mojej nieobecności rodzicom moim złożyli wizytę ”koledzy”. Podszycując się pod byłych partyzantów, dopytywali się o mnie.

Doszedłem więc do wniosku, że dla takich jak ja nie ma miejsca w Polsce ludowej i zacząłem snuć plany ucieczki na Zachód pod polskie sztandary. Podobnie myślał Romek Burkiewicz, mój młodszy kolega z III-go Państwowego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza i z obozów harcerskich. Starszy jego brat Heniek dowodził ”Czarną Jedyńką” przy naszym gimnazjum. Przez Karpaty dołączył on na przełomie 1939/1940 do Brygady Karpackiej, a po Tobruku wstąpił do lotnictwa. Został pilotem w 300 Dywizjonie i zginął na Lancasterze w czerwcu 1944 roku. Z Romkiem służyłem w partyzanckim batalionie ”Barbara” 16 Pułku Piechoty Armii Krajowej. Batalion nasz walczył z Niemcami na tyłach frontu na Pogórzu Tarnowskim w widłach Dunajca i Białej od końca lipca do końca października 1944 roku. Miałem wtedy 20 lat i wysokie buty. Szlak bojowy batalionu przebyłem z karabinem maszynowym na ramieniu, który ważył więcej kilogramów, aniżeli ja miałem lat. Był to bowiem Browning wzór 30. Karabin z wodą ważył 21 kg, a podstawa do niego ważyła 28 kg. Wraz z drugim Browningiem wz. 30 tworzyliśmy drużynę ckm, wchodzącą w skład 4 kompanii. Romek służył w 5 kompanii.

Z Romkiem zaczęliśmy się przygotowywać do podróży. Zbieraliśmy informacje i gromadziliśmy pieniądze. Na czarnym rynku kupiłem cztery amerykańskie dolary. Od Ojca dostałem 500 zł, a od kolegów wracających z obozów koncentracyjnych zbierałem trochę koron czeskich i marek niemieckich. Z atlasu Romera wyrwałem mapę Czechosłowacji. Romek skaptował dwóch następnych kandydatów. Jednym z nich był Rudek Pączek, który służył ze mną w 4 kompanii, a drugim był partyzant z kieleckiego oddziału AK, którego nie znałem i nazwisko oraz imię jego uleciało mi z pamięci.

Tarnów opuściliśmy wieczorem we wtorek 17 lipca 1945 roku i pociągiem towarowym, opróżnionym z węgla w Rosji, dojechaliśmy na Śląsk. Z Katowic pociągiem osobowym za biletami przez Rybnik zdążaliśmy do granicy, nie dojeżdżając do ostatniej stacji granicznej, wysiedliśmy z wagonu. Dalszą podróż odbyliśmy pieszo. Punktem orientacyjnym dla nas była, z daleka widoczna, wieża kościoła w Boguminie. Zanim doszliśmy do Olzy, stanowiącej granicę polsko-czechosłowacką, spotkaliśmy staruszkę, który nas nastraszył ostrzegając:

- Nie idźta tam panoczki, bo tam som miny i będą do was szczylać.

Podziękowaliśmy staruszkowi, który zorientował się w naszych zamiarach. Z duszą na ramieniu, obserwując stale przedpole, późnym popołudniem doszliśmy do krzaków nad Olzą. Po dłuższej obserwacji obu brzegów rzeki, pojedynczo skokami w butach przeszliśmy ją w bród. Woda sięgała nam do kolan. O zmroku doszliśmy do parku w Boguminie, wylewając przedtem wodę z butów. Usiedliśmy na ławce zapaliliśmy papierosy, zastanawiając się co dalej robić. Papierosy zwróciły uwagę przechodniów, widocznie było ich brak w Boguminie. Szybko więc je zgasił. W pewnym momencie Rudek rzucił się na szyję przechodzącej kobiecie. Okazało się, że to jego ciotka. Mieliśmy więc zapewniony w jej domu nocleg na podłodze. Dzięki niej wymieniłem polskie złote na czeskie korony i mój kapitał się podwoił. Na drugi dzień znajome ciotki Rudka kupiły nam za wymienione pieniądze bilety na nocny pociąg do Pragi i czeskie gazety.

W Boguminie, w przeciwieństwie do mijanych polskich miast, udekorowanych narodowymi flagami, powiewały same czerwone. Idąc na dworzec spotkaliśmy amerykańskiego żołnierza w helmie. Różnica między obu krajami była więc uderzająca. Ulokowaliśmy się po dwóch w przedziale i zasłonięci gazetami, bez przygód dojechaliśmy nad ranem do Pragi. Poza wodą sodową nic nie mogliśmy kupić do jedzenia. Znalazłem natomiast dużą mapę przedwojennej Europy, którą nabyłem za bezcen.

Bilety kolejowe do Pilzna kupiliśmy na dworcu bez najmniejszej trudności. Wiedzieliśmy, że w Pilźnie są Amerykanie, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie przebiega linia demarkacyjna. W pociągu idącym do Pilzna zajęliśmy miejsca na różnych ławkach w pulmanie, który nie miał przedziałów i byliśmy ze sobą w kontakcie zwrokovym. Na 15 km przed Pilznem pociąg zatrzymał się na stacji Rokiczany (Rokycany). Do wagonu z dwóch stron równocześnie weszły mieszane patrole sowiecko-amerykańskie i zaczęły legitymować pasażerów. Ode mnie dokumentów zażądał Amerykanin. Pokazałem mu moją Kennkartę, tak złożoną, że fotografia widniała na zewnątrz, zasłaniając palcami miejsce po wyciętym orle hitlerowskim (władze ludowe wycinały go przy wymianie pieniędzy), i dodałem po francusku

- *Je ne comprends pas anglais, je comprends allemand.*

Wziął mnie przypuszczalnie za powracającego do domu Francuza, machnął ręką i podszedł do następnego pasażera. Znalazłem się w strefie amerykańskiej tylko na krótko.

W pewnym momencie zauważyłem, że sowiecki żołnierz wyprowadzał z wagonu trzech moich kolegów. Z tego samego peronu akurat ruszał pociąg w przeciwnym kierunku i widziałem jak moi koledzy do niego wskakiwali. W myśl obietnicy, jaką daliśmy sobie przy przekraczaniu Olzy, że jeżeli przechodzimy granicę, to wszyscy, albo nikt – wybiegłem z pulmana i ledwo zdążyłem wskoczyć do ostatniego wagonu. Usłyszałem wtedy bzyk kul. Puścił za mną serię

z pepeszy sowiecki żołnierz, ale pociąg nabrał już szybkości. Dziadek z nad Olzy miał jednak rację.

Przebiegłem cały pociąg od ostatniego wagonu do lokomotywy, zaglądając do każdej ubikacji, kilka razy, ale kolegów nie znalazłem. Za którymś tam razem natknąłem się na starego konduktora. Zapytał się on mnie dlaczego skakałem do pociągu i dlaczego za mną strzelali? Opowiedziałem mu bajeczkę, że jechałem z kolegami do Pilzna w poszukiwaniu rodziców, których Niemcy wywieźli do obozu koncentracyjnego. Bajka ta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Poradził mi w końcu, żebym wrócił do Pragi i postarał się o przepustkę do Pilzna w polskim konsulacie. W pewnym momencie zapytał się mnie o bilet. Gdy mu pokazałem bilet z Pragi do Pilzna zmieniło się jego nastawienie do mnie. Zapytał mnie, czy nie jestem głodny. Poradził mi, abym nie wracał do Pragi, tylko wysiadł na następnej stacji i wrócił do Rokiczan, gdzie na pewno spotkam się z kolegami. Co też uczyniłem. Wysiadł również i on, bo tam właśnie kończyła mu się służba.

Usiadłem na stacji na ławce, z teczki wyjąłem kawałek chleba i zacząłem jeść, a on poszedł do budynku stacyjnego. Za pół godziny nadjechał pociąg. Ów konduktor wyszedł wtedy z budynku, machnął ręką na mnie, i zaczął zaglądać do wagonów, otwierając drzwi do poszczególnych przedziałów podmiejskiego pociągu. Za którymś tam razem otworzył drzwi do przedziału, w którym siedziały dwie starsze panie. Zaczął im coś szybko tłumaczyć, mało z tego zrozumiałem, ale po wyrazach twarzy tych pań domyśliłem się, że im opowiada bajeczkę ode mnie usłyszaną. Podziękowałem mu i wsiałem do tego przedziału. Pociąg wkrótce ruszył. Owe panie poczęstowały mnie biskwitami. Rozmawiając o moim "nieszczęściu" dojechaliśmy do Rokiczan. Tym razem Rokiczany były stacją docelową i tam pociąg kończył bieg. Na szerokim peronie stali Amerykanie, legitymując pasażerów, wsiałających do pociągu do Pilzna, stojącego po drugiej stronie tego samego peronu.

Wysiadłem razem z Czeszkami i szedłem o pół kroku za nimi. Pokazały one żołnierzowi amerykańskiemu przepustkę do Pilzna i wskazały mu ręką na mnie, że jesteśmy razem. Jak poprzednim razem, pokazałem mu złożoną Kennkartę z fotografią na zewnątrz, przykrywając palcami miejsce po wyciętej pieczęci z orłem hitlerowskim. Razem z Czeszkami wsiałem do wagonu. Pociąg wkrótce ruszył. Sowiecką strefę miałem za sobą.

Do Pilzna dojechaliśmy wieczorem. Wokół stacji były gruzy. Z Czeszkami wysiadłem z pociągu, sądząc, że mnie przenocują. One jednak miały inne plany. Po wyjściu z dworca pożegnały się ze mną, a ja im serdecznie podziękowałem za okazaną pomoc. Na rogu ulicy one skręciły w prawo a ja w lewo.

Nie uszedłem stu metrów i anim się obejrzał, jak siedziałem w Jeepie amerykańskiej żandarmerii. Okazało się, że w Pilźnie obowiązywała godzina policyjna. Dwaj rośli żandarmii w białych hełmach z czarnym napisem MP na czole zawieźli mnie do obozu dipisów. Obóz ten, w którym spędziłem jedną noc, okazał się po prostu domem publicznym. Przez całą noc piętrowe łóżka się ruszały.

Rano zgłosiłem się do komendy obozu z prośbą o przepustkę do Kolonii. Celem mojej podróży była Anglia, gdzie chciałem zaciągnąć się do lotnictwa. Amerykański porucznik oznajmił mi, że jeśli mam zapewniony transport do Kolonii, to mi przepustkę wystawi. Z kancelarii wyszedłem z niczym i skierowałem swe kroki na wartownię przy głównej bramie. Żołnierz amerykański miał karabin oparty o budkę wartowniczą i obejmował dziewczynę. Skorzystałem z okazji i niezauważony przeszedłem przez bramę.

Wróciłem na dworzec. Stał tam pociąg towarowo-osobowy, którym dowodził oficer amerykański. Od pasażerów dowiedziałem się, że jadą do Włoch. Pasażerami byli Żydzi, którzy przeżyli obozy zagłady.

Kierunek jazdy pociągiem mi nie odpowiadał, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że jak najszybciej należy się oddalić od strefy sowieckiej. Wymieniłem czeskie korony na marki niemieckie. Kapitał mój się znów powiększył dwukrotnie.

Spenetrowałem potem cały pociąg i upatrzyłem sobie budkę wartowniczą w ostatnim wagonie. Gdy pociąg ruszył wskoczyłem do niego i usadowiłem się w budce. Tak dojechałem do Norymbergi, skąd miałem zamiar udać się na północ.

Centrum miasta było w gruzach. Odkopane były tylko ulice, którymi sunęły amerykańskie samochody wojskowe.

Na jednej z ulic spotkałem polskiego kapitana, idącego z Amerykanką. Po odznace krzyżowców na prawym ramieniu poznałem, że jest z II Korpusu, bo z nasłuchu radiowego wiedziałem, że po bitwie pod Monte Cassino przyznano Polakom brytyjską odznakę 8 Armii. Zameldowałem mu się na trzy kroki z przytupem:

- Panie kapitanie kpr. pchor. Kajetan Bieniecki, 16 pp AK z prośbą o rozmowę.

Już na spocznij bardzo przyjacielsko zaczął ze mną rozmawiać. Był oficerem łącznikowym II Korpusu, a Amerykanka okazała się Polką, która miesiąc przede mną opuściła Polskę i pracowała w amerykańskiej Komendzie Miasta. Ów kapitan poinformował mnie, że nie mam szans dostania się do lotnictwa, ani też do 1 DPanc. Poradził mi się udać do Augsburga, gdzie na przedmieściach są amerykańskie magazyny wojskowe, do których po żywność przyjeżdżają polskie samochody z Murnau, obozu oficerskiego polskich jeńców niemieckich. Do Murnau natomiast przyjeżdża z Włoch po ochotników kompania transportowa. Polka w amerykańskim mundurze natomiast obiecała mi następnego dnia przynieść z Komendy Miasta przepustkę na podróż.

Noc spędziłem w dworcowym schronie przeciwlotniczym, gdzie się przespałem na podłodze. Ławki bowiem przysługiwały żołnierzom niemieckim, wracającym do domu z obozów jenieckich. Następnego dnia w poniedziałek 23 lipca, o umówionej godzinie i miejscu dostałem od życzliwej "Amerykanki" nie tylko przepustkę, ale również parę konserw mięsnych i bochenek chleba białego jak śnieg.

Pociągiem dojechałem w okolice Regensburga nad Dunaj, gdzie most kolejowy był zerwany. Trochę pieszo, trochę autostopem z żołnierzami niemieckimi, wracającymi do domu, dojechałem do Augsburga. Tu rzeczywiście samochody przyjechały po żywność, ale oficer dowodzący nimi nie był skłonny mnie zabrać. Wziął mnie natomiast kapral-szofer, którego samochód załadowany był po brzegi chlebem. Stojąc między bochenkami chleba w ciemnej budzie samochodu dojechałem późnym popołudniem do Murnau.

Kolumna transportowa z II Korpusu miała wyruszyć następnego dnia. Transport ten organizował były jeniec wojenny, kpt. artylerii, którego nazwisko uleciało mi z pamięci. Zgłosiłem się więc do niego. Gdy mu powiedziałem, że jeszcze tydzień temu byłem w Polsce i jestem pchor. AK, wytłumaczył mi po ojcowsku, że w jutrzejszym transporcie nie ma już miejsca. Za to w następnym, który odejdzie za dwa tygodnie, umieści mnie pierwszego na liście. Poradził mi również, abym się zameldował w komendzie obozu, to od jutra zostaną zaprowiantowani.

W komendzie obozu jeden z oficerów długo ze mną rozmawiał i wypytywał o sytuację w Polsce. Z rozmowy wywnioskowałem, że w obozie są już agenci i namawiają oficerów do powrotu do Polski, obiecując im złote góry.

Podał mi także adres rozgłośni radiowej w Szwajcarii, która nadaje po polsku komunikaty, szukających się wzajemnie rodaków. Skorzystałem zaraz z informacji i przekazałem tą drogą wiadomość zaszyfrowaną, zrozumiałą tylko przez rodziców, o udanym przejściu granicy.

Następnego dnia wstałem wcześniej rano, umyłem się pod zimną wodą, zjadłem resztki prowiantu, darowanego mi przez "Amerykankę" i rozpocząłem penetrację kolumny samochodowej. Na jednym z ciężarowych samochodów położyłem swoją teczkę. Miałem w niej już tylko przybory toaletowe i zmianę bielizny.

Wkrótce rozpoczęło się ładowanie. Do samochodów zaczęli przychodzić oficerowie, obładowani bagażem i amerykańskimi paczkami z prowiantem na drogę. Jeden z nich w randze podpułkownika, zaciągając kresowym akcentem, zwrócił mi uwagę, że ten samochód, na którym położyłem swoją teczkę, jest tylko dla oficerów. Chcąc nie chcąc zabrałem teczkę i odszedłem. Postanowiłem jednak, że tym transportem pojedę do Włoch. Zastanawiałem się jak to zrobić. Po pewnym czasie transport ruszył. Samochód za samochodem jechał w stronę bramy i zauważyłem, że wszystkie samochody przy bramie zwalniają i ostro skręcają w lewo na szosę. Podbiegłem

szybko pod bramę, rzuciłem teczkę na tył pierwszego z brzegu samochodu, chwyciłem się za tylną klapę i podskoczyłem do góry. Odbiłem się jednak zbyt słabo i nogami fikając do góry nie potrafiłem wsiąść.

Z pomocą przyszedł mi jeden z siedzących z tyłu oficerów i wciągnął mnie za tylną część ciała do samochodu mówiąc:

- Posuncie się panowie - powiedział - mamy jednego więcej pasażera.

Podziękowałem mu i usiadłem na czymś bagażu. Na otwartej szosie długa kolumna samochodowa nabrała szybkości i jechaliśmy doliną u podnóża Alp przy pięknej pogodzie. Po kilku godzinach jazdy za Innsbruckiem kolumna samochodowa zatrzymała się przy zagajniku koło szosy. Wszyscy wysiedli, otworzyli amerykańskie paczki i zaczęli się pożywiać.

Byłem głodny więc odszedłem na bok, aby nie myśleć o jedzeniu. Zauważył to ów oficer, który wciągnął mnie do samochodu, podszedł do mnie i zaczął mnie częstować swoją paczką. Takich smakołyków nie jadłem od czasu wojny. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziałem mu, że byłem "chłopcem z lasu" i jadę prosto z Kraju, aby się zaciągnąć w szeregi II Korpusu. Mój rozmówca natomiast – jak się okazało w rozmowie - był księdzem, który przeżył obóz koncentracyjny, a teraz chciał zostać kapłanem w II Korpusie.

Wkrótce znów załadowaliśmy się do samochodów i transport ruszył. Droga zaczęła się piąć w górę i samochody wyły na pierwszych biegach. Krajobraz był śliczny – góry, szpilkowe lasy i zieleń wokoło, ubarwiona kolorowymi domami na stokach gór i w dolinach. Po osiągnięciu szczytu klimat się nagle zmienił. Buchało żarem jak z rozpalonego pieca i trudno było oddychać. Zmienił się również krajobraz. Wszystko, słońcem spalone było szare, tylko gdzieniegdzie zieleniały drzewa oliwne.

Przez Brenner dojechaliśmy wieczorem do Verony, gdzie zostaliśmy zakwaterowani na nocleg w obozie.

Następnego dnia transportem kolejowym odbyliśmy dalszą podróż do Porto San Giorgio, gdzie rozstałem się ze swoim opiekunem. Jego skierowano do kwater oficerskich, a ja znalazłem się pod namiotem w obozie przejściowym dla jeńców. Taki właśnie wisiał napis przy wejściu do obozu.

W obozie tym otrzymałem tropikalne sorty mundurowe i wraz z innymi ochotnikami czekałem z niecierpliwością na transport do Bazy II Korpusu. Czas mi się strasznie dłużył. Ochotnikami byli powstańcy warszawscy, więźniowie obozów koncentracyjnych, jeńcy z kampanii wrześniowej i francuskiej oraz paru robotników, których wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec. Największą grupę stanowili powstańcy warszawscy. Z trudem znosiłem czekanie.

Po dwóch lub trzech tygodniach, ciągnących się – zdawało się – w nieskończoność, odesłani zostaliśmy transportem samochodowym na południe Włoch, kilkanaście kilometrów na północ od Taranto, do obozu pod namiotami koło San Basilio w Apulii. Tam przyjechała komisja i zaczęła nas rozdzielać do różnych jednostek Bazy II Korpusu. Wszyscy byliśmy ochotnikami i przysługiwał nam wybór broni.

A wybór mniej więcej tak wyglądał. Ustawiono nas w szeregu i do każdego z nas podchodził podpułkownik z adiutantem. Zanim podszedł do mnie podpułkownik, słyszałem tylko – do lotnictwa, do spadochroniarzy, do komandosów, do broni pancernej panie pułkowniku – były to głosy powstańców warszawskich. Gdy przyszła na mnie kolej, stanąłem na baczność i wyrecytowałem gromkim głosem:

- Do lotnictwa panie pułkowniku!

Machnął on ręką, powiedział, że lotnictwo jest w Anglii i podszedł do następnego ochotnika. Z szeregu stopniowo ktoś odchodził. Do mnie podpułkownik podchodził coś ze trzy razy. Uparcie stałem w szeregu i za każdym razem słyszałem ode mnie to samo. Aż wreszcie zatrzymał się przede mną dłużej i po ojcowsku zaczął mi tłumaczyć:

- Chłopcze jeśli chcesz latać, to wybieraj artylerię. Artylerzyści czasami, jak są dobrymi strzelcami, prowadzą ogień, lecąc samolotem. Lotnictwo synku jest w Anglii, o czym ci tłumaczyłem coś już ze trzy razy.

Byłem zrezygnowany, bąknąłem tylko:

- Niech będzie artyleria.

Dostałem przydział do 17 PAL-u. W drodze do pułku było nas w samochodzie coś ze dwudziestu. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Pułk, do którego zostaliśmy przydzieleni stacjonował na "na obcasie włoskiego buta" w Squinzano.

Po przyjeździe do pułku przywitał nas dowódca, mjr Jerzy Janasiewicz i wypytywał nas o przebieg naszej służby.

Życiorysy mieliśmy ciekawe. Bohdan Madey, przedwojenny podchorąży, w kampanii wrześniowej dostał się do niewoli sowieckiej, a w Brześciu nad Bugiem w trakcie wymiany oficerów na żołnierzy trafił do niewoli niemieckiej. Tońko Obszarski, słuchacz Politechniki Lwowskiej, po wrześniu przedostał się do Francji, gdzie walczył w szeregach 1 Dyw. Grenadierów i wzięty został do niewoli niemieckiej. Ja byłem "chłopcem z lasu". Resztę pasażerów tego samochodu stanowili powstańcy warszawscy. Nikt z nas nie miał rangi poniżej kaprała. Wielu z nas miało tytuł podchorążego. Na koniec swojej inspekcji major poprosił nas o zdjęcie dystynkcji do czasu weryfikacji. Wszyscy przydzieleni zostaliśmy do baterii szkolnej.

W baterii tej znaleźliśmy się wśród Ślązaków, wyszkolonych artylerzystów, którzy swoje żołnierskie rzemiosło znali ze służby frontowej w armii niemieckiej. Na działaczynach nie mogliśmy początkowo zrozumieć jak można strzelać do przodu, celując do tyłu. Biegaliśmy więc ze Ślązakami naokoło dział. Nazywali nas oni żołnierzami królowej Jadwigi, a my ich pierunami. Zrozumiałe, że powstały między nami animozje. Aby wśród nas zapanowała harmonia, oficer oświatowy zaproponował naszej świeżo przybyłej dwudziestce, abyśmy urządzili wieczorek dla pułku i wystąpili na scenie. Zgodziliśmy się na to i przystąpiliśmy do pracy. Za temat naszego wystąpienia wybraliśmy "Burzę" i Powstanie Warszawskie. Przedstawiliśmy je konferansjerką, przeplataną śpiewem, deklamacją i muzyką.

Najmłodszy z nas Mirek, którego nazwisko uleciało mi z pamięci, miał nie więcej jak 17 lat i ładnie śpiewał tenorem sentymentalne piosenki. Bartek Hübner, którego rodzice wysłali do Chyrowa, bo nie mogli sobie dać z nim rady, pięknie deklamował. Ktoś z nas dobrze grał na pianinie i harmonii. Utkwił mi w pamięci wiersz Mieczysława Ubysza "Stare Miasto". Bartek ten wiersz skandował w takt akompaniowanego na pianinie "Marsza żałobnego" Szopena. Recytacja Bartka zrobiła na widowni niesamowite wrażenie. W pierwszych rzędach siedziała starszyzna pułku i zauważyłem wśród nich nieukrywane wzruszenie.

Po naszym występie przybył za kurtynę dowódca pułku i każdemu z nas dziękował. W nagrodę dostaliśmy dwutygodniową przepustkę do Rzymu. Po urlopie odkomenderowani zostaliśmy na III turnus do Szkoły Podchorążych Artylerii w Materze.

We wtorek 20 listopada 1945 roku ledwie zdążyłem wysiąść z samochodu i wejść do budynku szkolnego, a tu na korytarzu rzuca mi się na szyję Romek Burkiewicz i jego kolega, z którymi rozstałem się przed czterema miesiącami w Rokiczanach. Okazało się że oni, aby uwolnić się od sowieckiej eskorty, wskoczyli do odjeżdżającego pociągu i zaraz z niego wyskoczyli na drugą stronę. Linię demarkacyjną udało im się przekroczyć dopiero za trzecim razem. Rudka Pączka natomiast już nigdy nie spotkałem.

Romek ze swym kolegą przyjechał do Szkoły zdaje mi się z 10 PAC-u i przydzielony został do 2 baterii ciężkiej. Ja natomiast dostałem przydział do I plutonu w 1 baterii lekkiej.

Dowodcą 1 baterii był por. Stefan Bakinowski. Dowodził nami krótko, gdyż po Bożym Narodzeniu odszedł, jak wielu elewów Szkoły, na studia, gdy bramy włoskich uniwersytetów otworzyły się dla żołnierzy II Korpusu. Por. Bakinowski przeszedł przez sowieckie łagry, służył w 3 Karpackim PAL-u, a na piersi nosił baretkę KW i Monte Cassino. Zdaje mi się, że przed wojną studiował polonistykę. Po nim dowództwo 1 baterii przejął por. Henryk Grzyb, oficer zawodowy, żołnierz września, jeniec wojenny, który po wojnie dołączył do II Korpusu i dowodził nami do końca Szkoły. Jeńcem wojennym był również ppor. Benke, poznaniak. Służył w którymś DAC-u, gdyż nosił zielone patki z czerwoną wypustką. Wykładał instrukcję strzelania, przedmiot trudny, który znał doskonale. Matematyki uczył nas kpt. Kazimierz Jasiński, z-ca k-mtda Szkoły. Innych wykładawców pamiętam tylko twarze. Nazwiska ich uleciały mi z pamięci. Szefem naszej 1 baterii był st.ogn. Antoni Furman, stary wyga, chyba jeszcze instruktor ze SPA w Toruniu. Działaczyny prowadził ogn. Skalski; przeszedł przez sowieckie łagry i służył w jednym z Kresowych PAL-i.

Do zakresu szkolenia, oprócz artyleryjskiego, wchodziła również taktyka piechoty, broni pancernej (każdy z nas jeździł nawet Shermanem), lotnictwa oraz łączność, minerstwo i gazoznastwo.

Elewi III turnusu rekrutowali się z Armii Krajowej (Powstanie Warszawskie, "Burza", obozy koncentracyjne) i stanowili chyba grupę najliczniejszą. Z II Korpusu przydzielono tych, którzy pokończyli gimnazja korpuśne i było ich tyle samo co Ślązaków, jeńców z armii niemieckiej. Wrześniowców i żołnierzy z kampanii francuskiej było b. mało i w większości odeszli oni na studia, a dezertorów od Berlinga zaledwie paru.

Szkoła początkowo liczyła trzy baterie: 1-sza i 3-cia lekkie (brytyjska armato-haubica 25-cio funtówka – kaliber 87,6 mm), a 2-ga bateria była ciężka (amerykańska armata 155 mm i brytyjska armato-haubica 5,5 cali).

Po pewnym czasie z tych trzech baterii utworzono czwartą baterię ppanc. Przydzielono do niej ochotników i słabszych uczni w matematyce. Nie musieli robić obliczeń, gdyż nie strzelali z za zasłony tylko na wprost z brytyjskich 17-to funtówek, kaliber 76,2 mm.

Baterie 1-sza, 2-ga i ppanc. kwaterowały na I-szym piętrze. Natomiast 3-cia bateria miała swoje kwatery na parterze. Artyleria zajmowała prawe, a piechota lewe skrzydło budynku szkolnego.

Na ćwiczenia chodziliśmy plutonami, mieszkaliśmy w tej samej sali i przez to znaliśmy się bliżej. W moim plutonie był mahometanin, o nazwisku zdaje się Bajreszewski i pochodził z Wileńszczyzny. Dla podkreślenia koleżeństwa w niedzielę maszerował jednak z nami do kościoła,

Na defilady 1-szą i 3-cią baterię łączono razem i maszerowaliśmy szóstkami. Wtedy z Jurkiem Andersem, synem gen. Andersa z 7 PAK-u, chodziłem w pierwszej szóstce. 2-ga bateria ciężka łącznie z ppanc. tworzyła osobną grupę i maszerowała za nami.

Przeglądu SPRA i SPRP dokonał gen Anders w grudniu 1945 roku.

Moje pierwsze spotkanie z gen. Andersem tak zapamiętałem: Staliśmy sfrontowani w trójszeregu na placu katedralnym w Materze. Byliśmy w battle dressach i w hełmach. Staliśmy wyprężeni na baczność z Thompsonami zawieszonymi na szyi. Szkoła Podchorążych Piechoty karabinami prezentowała broń. W pewnym momencie na placu zjawił się gen. Anders. Orkiestra 12 Pułku Ułanów Podolskich zagrała "Marsza generalskiego". Obok mnie stał oficer kierunkowy, nasz wykładowca instrukcji strzelania. Był twardym "pruskim" oficerem i wymagającym wykładowcą. Wojnę spędził, jak już wspomniałem, w niewoli niemieckiej. Orkiestra ciągle grała "Marsza generalskiego". Gen. Anders przechodząc przed frontem każdemu żołnierzowi patrzył w oczy. Nikogo nie pominął. Dziwne ogarnęło mnie wtedy uczucie, gdy oczy nasze spotkały się ze sobą. Wzrok miał niesamowity, patrzył mi w oczy, jakby chciał zobaczyć dno mojej duszy. Po policzkach "pruskiego" oficera spływały łzy. Ja też byłem wzruszony.

Szkołę ukończyło nas, jak wynika z mego świadectwa, 137. Nie wiem jednak czy ta liczba obejmuje również ppor. Stefana Mączyńskiego z 7 PAK-u, który był powstańcem warszawskim, kawalerem VM i słuchaczem w 3 baterii. Chodził na ćwiczenia, ale nie w szeregu i zdawał egzaminy jak każdy z nas.

Promocja nasza odbyła się na placu katedralnym we wtorek 9 lipca 1946 roku. Staliśmy w pięciu szeregach, ustawieni kolejno według lokat. Na promocję naszą przyjechał ze swiątą gen. Anders. Przemawiał do nas z carriersa. Swoją przemowę, której początek ukwił mi głęboko w pamięci rozpoczął tymi słowami:

- Moje kochane dzieci, gdy patrzę na wasze szeregi przypomina mi się promocja mego syna, który zginął pod Kutnem...

Promował pierwszych pięciu lub dziesięciu, wśród których był jego syn Jurek. Prymusem został Mietek Jurkowski z 3-ciej baterii. Przeżywaliśmy go "Myśką". Szybciej mnożył pięciocyfrowe liczby przez siebie w pamięci, aniżeli ja je dodawałem logarytmami. Promocji reszty elewów dokonał gen. dr Odzierzyński, d-ca artylerii korpusu. Po promocji odbyła się defilada przed gen. Andersem na jednej z głównych ulic Materzy wśród tłumu wiwatujących Włochów. Defilowaliśmy pod "Warszawiankę". Później odbył się uroczysty obiad żołnierski na dziedzińcu szkolnym. Przed obiadem nałożyliśmy na naramienniki, wcześniej przygotowane,

srebrne szlify podchorążackie. W obiedzie wziął udział gen. Anders ze swoją świtą. Do obiadu przygrywała orkiestra 12 Pułku Ułanów Podolskich.

Po latach, gdy kończyłem studia, przyjechał na jakąś uroczystość do Birminghamu gen. Anders. Był wtedy głównym mówcą. Sala wypełniona była po brzegi. Gros jej stanowili starzy wiarusi i było ich chyba z 500 chłopa. W pierwszym rzędzie siedziały jakieś panie, prezesi różnych polonijnych organizacji i ksiądz, dawny kapelan jednego z polskich dywizjonów lotniczych. Ja siedziałem w tylnych rzędach i widziałem całą salę jak na dłoni. Generał rozpoczął przemówienie witając księdza kapelana, licznych prezesów, panie, a swoje powitanie zakończył słowami:

- Czołem żołnierze!

Wtedy wszyscy wstali, jak na rozkaz, i odpowiedzieli gromkim głosem, równo, jak w najlepszej, dobrze zgranej i wyćwiczonej na taką uroczystość szkole podchorążych:

- Czołem panie generale!

Był urodzonym wodzem. Miał niesamowity charyzmat. Żołnierze go uwielbiali. Do dzisiaj słyszę to gromkie powitanie tych żołnierzy, co to śladami Legionów Dąbrowskiego szli z ziemi włoskiej...

© Kajetan Bieniecki



Pierwsza szóstka

PS.

Fotografia: „Pierwsza szóstka”

Od prawej: kpr. pchor. Anders Jerzy, plt. pchor. Madey Bohdan, kpr. pchor. Bieniecki Kajetan, plt. pchor. Bogdanowicz, ogn. pchor. Zmorzyński, plt. pchor. Jurkowski Mieczysław (niewidoczny).